MIEJSCE

Bardzo szybko się uwinęli. W dwa miesiące. Pozostał prostokąt szarej, gliniastej ziemi. W lesistym i bezludnym pejzażu ta nagość wygląda jak płatek zdartej skóry. W przyszłym roku, pierwszy raz po dwustu latach, wyrośnie tutaj trawa. Albo raczej pokrzywy — one najprędzej zjawiają się w miejscach porzuconych przez ludzi.

— Co tu było? — zapytał mnie mężczyzna. Miał plecak, w ręku mapę, a na szyi aparat fotograficzny.

— Cerkiew — odpowiedziałem.

— I co się stało?

— Nic. Zabrali ją do muzeum.

— Całą?

— Całą, ale po kawałku.

Wszedł na udeptany placyk i rozejrzał się wokół, jakby szukał ścian i sklepienia. Potem wynalazł słoneczną plamę, obejmowała prezbiterium, i pstryknął prakticą.

— Szkoda — powiedział.
— Tak — odmruknąłem.

Wielekroć próbowałem sobie wyobrazić początek. Giacomo Casanova dogorywał na zamku w Dux. 30 tysięcy dońskich Kozaków maszerowało na Indie. Ludwik XVI, niczego jeszcze nie podejrzewając, konstruował swoje ostatnie kłódki i zamki. Te wszystkie daty są dokładnie ustalone, przestrzeń między nimi wypełniają opisy, jeżeli pozostały jakieś szczeliny, to zasklepiono je przemyślnymi hipotezami albo poezją.

Lecz w tym wypadku data jest niepewna. Nigdzie jej nie odnotowano, jakby dwa istniejące tutaj kalendarze, gregoriański i juliański, znosiły się nawzajem, sytuując zdarzenia w bezprzymiotnikowym Czasie.

Resztki pokruszonego gontu walają się w trawie. Tkwiące w nich gwoździe mają niespotykany dzisiaj, kwadratowy przekrój. Niewykluczone, że były kute, każdy z osobna, w jakiejś cygańskiej kuźni albo wprost na miejscu, w miarę jak przybijano poszycie.

No więc ten bezprzymiotnikowy Czas jest kuszący. Potrzeba porządku, nazwy, skutku i przyczyny dotyczy również imaginacji. Z tego biorą się wszystkie zmyślone historie, w które z czasem zaczynamy wierzyć. Być może wyobraźnia i wiara nie mogą bez siebie istnieć, bo mają wspólną istotę — nie wymagają dowodu.

Najprawdopodobniej wszystko zaczęło się zimą. Wtedy jest najwięcej czasu, a transport stosunkowo łatwy. Jeżeli ówczesna granica lasów przebiegała podobnie do dzisiejszej, to najbliższe jodły znajdowały się kilometr dalej i wyżej. Trzeba było odnaleźć te najlepsze, grube, proste, rosnące w miejscach słonecznych. I potem ściąć.

Gdy przyglądałem się pochyłym słupom stanowiącym nośny szkielet świątyni, ich grubość dawała pojęcie o potędze dawnego lasu. Niektóre drzewa użyte do budowy musiały mieć u podstawy blisko metr średnicy. Piły były ręczne. Dwóch mężczyzn piłowało jedno drzewo cały dzień. Piłowali, wbijali drewniane kliny, zdejmowali ubrania, póki nie zostali w samych koszulach, z których na mrozie unosiła się para. Ostatnie chwile były pełne niepokoju. Nasłuchiwali trzasków, z jakimi zrywają się włókna, gdy drzewo zaczyna swój powolny upadek. Potem krzesanie grubszych gałęzi i konarów i można było do srebrnoszarego pnia zaprzęgać konie. Na pewno rwały się uprzęże, pękały łańcuchy. Nim poprzez zawiane śniegiem wykroty, próchniejące kłody i wiatrołomy wydostali się na skraj lasu, grzbiety koni parowały tak samo jak godzinę wcześniej grzbiety ludzi. Na pochyłości rzecz była już prostsza. Jeśli wcześniej przeszły tędy inne zaprzęgi, to w śniegu wyżłobiona była głęboka rynna. Pięćdziesiąt, sto, więcej drzew? W każdym razie dużo jak na możliwości wsi, która liczyła może ze dwadzieścia chałup. Miejscami konie zapadały się po brzuchy.

Gdy rozmawiam ze starymi ludźmi, wspominają, że w ich młodości zimy bardziej przypominały zimy, a lata były gorętsze. Im obraz dalej sięga w przeszłość, tym jego kolory, kształty i zdarzenia bardziej przypominają alegorie i symbole. Dwie ciemne sylwetki koni wspinają się w górę stoku, za nimi mała postać człowieka. Ich kroki są tak samo znużone. Człowiek ma zapewne jakieś imię: Wasyl, Iwan, może Semen. Ten marsz przypomina orkę w białej wieczności. Wysiłek jest absurdalny, bo niesiony wiatrem śnieg szybko zasypuje głębokie ślady. Droga powrotna będzie miała w sobie coś z ucieczki albo pogoni, w każdym razie coś z walki. Konie podczas brania zakrętów przysiadają na zadach, powstrzymywane lejcami, ponaglane pochyłością, umykają przed masą drewna, która chwilami nabiera cech żywej istoty — staje się ruchliwa, zwinna i niebezpieczna. Fontanny sypkiego śniegu, piana, odgłosy są stłumione, pokrzykiwania porywa wiatr, jakby rzecz działa się nie na ziemi, lecz na morzu, w chaotycznym, zdradliwym żywiole, z którego trzeba się wyrwać, dobić do dna doliny pomiędzy kilka starych dębów. Zwleczone, leżące obok siebie pnie przypominają tratwę.

Pomyślałem sobie, że mężczyzna, zapewne przez przypadek, sfotografował przestrzeń, w której znajdował się ikonostas. Teraz była opróżniona z kształtów, lecz wypełniało ją światło. Jak zwykle przed zachodem słońca. W jesienne pogodne popołudnia słońce znajdowało się

naprzeciw wejścia. Wystarczyło pchnąć wrota i blask wlewał się do wnętrza. Jasna fala toczyła się przez wypełnioną zbutwiałym zapachem nawę, omiatała pospiesznie pokryte złuszczoną polichromią ściany i rozbijała się właśnie o ikonostas. Przez te kilka minut zetlałe złoto snycerki i szarzejące barwy ikon odzyskiwały pierwotne, nadprzyrodzone lśnienie powstałe w wyobraźni i tęsknocie wiejskich artystów. Chwila była krótka. Słońce kryło się za trawiastym pagórkiem i do świątyni powracał półmrok. Twarz świętego Dymitra ciemniała, na powrót stawała się ludzka, nagie ciało Adama przybierało bury odcień gliny.

To było jak zerknięcie na drugą stronę. Rzeczywistość przełamywała się i po chwili znów zasklepiała, ani śladu szczeliny korniki podejmowały przerwaną pracę, myszy i pleśń nadal robiły swoje. Mężczyzna patrzył przez wizjer aparatu na stos przegniłych desek.

— Złożą ją od nowa?

— Nie wiem. Taki mają zamiar — odpowiedziałem.

Zima kończy się tutaj późno. Jeszcze w kwietniu zjawiają się zamiecie, a noce są mroźne. Nadejście wiosny poprzedzone jest błotną porą, w której barwy wciąż się mieszają. Biel zmaga się z czernią, z szarością, z pierwszą zielenią. Zbocza i doliny nieustannie zmieniają wygląd. Co słońce wytopi, to nocna zadymka odzyska.

No więc prawdopodobnie zaczynali w błocie, w czwartym niepewnym stanie skupienia ustawiali

węgielne kamienie wyznaczające zarys babińca, nawy i prezbiterium. Podwaliny były modrzewiowe. To ciężkie, kleiste, nasączone żywicą drewno setki lat opiera się pogodzie. Pnie ciosało się toporami, by nadać im kwadratowy lub prostokątny przekrój. Żmudna, powolna praca, zważywszy, że kolejne wieńce zrębu przylegały do siebie idealnie. Na tle brudnego krajobrazu przedwiośnia drewno miało jasny, niemal biały kolor. W dni ciepłe i bezwietrzne powietrze było gęste od balsamicznej woni, jakby materializacja świątyni dokonywała się w przestrzeni wszystkich zmysłów. Zwielokrotniony echem stukot narzędzi obijał się w dolinie, dopóki nie znalazł sobie ujścia albo nie przepadł w pustce nieba. Wysoki dźwięk pił, uderzenia siekier formujących wiązania węgłów, komendy i przekleństwa majstrów podczas dźwigania kolejnego obrobionego bala.

Jesienią pewnie było już po wszystkim. Przybijano ostatnie gonty. Forma się zamknęła. Wewnątrz układano podłogę. Fragment świata został ze świata wyjęty, uniesiony w inną dziedzinę. Jak prorok Eliasz z lewej strony ikonostasu.

W świątyniach najmniej fascynujące są obrazy i przedmioty. Zanadto przypominają resztę rzeczywistości. Próbują się z niej wyrwać i na powrót w nią zapadają, dowodząc daremności wszystkich wysiłków. Natomiast zamknięte w bryle powietrze, uformowana sklepieniem, ścianami i architektonicznym szczegółem

przestrzeń stanowią najdoskonalsze odwzorowanie tęsknoty. Można wejść, czuć na skórze dotyk, lecz wszystko przepływa między palcami, można zatrzymać w płucach, lecz tylko na chwilę.

Gdy niedawno otwarto wschodnią granicę, zaczęli się tutaj zjawiać potomkowie budowniczych pięćdziesiąt lat temu, przemocą albo podstępem, wysiedleni z rodzinnej wsi. Stare kobiety przestępowały próg cerkwi, wchodziły do nawy, klękały na gliniastym klepisku, bo podłogi już dawno nie było, żegnały się i biły pokłony. Komu? Ołtarz stał koślawo, wsparty o ścianę, ze wspaniałości nie pozostał nawet ślad. Tabernakulum z wyrwanymi drzwiczkami przypominało odrapaną skrzynkę. Części ikon, tych najważniejszych: Chrystusa, Matki Bożej, św. Mikołaja, nie było. Inne, te z wyższych szeregów ikonostasu, tonęły w ciemności, spęczniałe od wilgoci, trudne do rozróżnienia. Zapach wnętrza był zapachem piwnicy. Lecz kobiety klękały.

Albo ten starzec, którego przywiozła rodzina mieszkająca kilkanaście kilometrów dalej. Siedział wyprostowany na krześle ustawionym w środku zwykłego chłopskiego wozu. Myślałem, że to z uszanowania wożono go tak uroczyście. Lecz dwóch mężczyzn musiało go zdjąć i wnieść razem z krzesłem do cerkwi. Był sparaliżowany. Jego dziewięćdziesięcioletni umysł zachował jednak jasność.

— Panie, byłem na Syberii, byłem w Kazachstanie i widziałem mahometan, byłem i w Mongolii, widziałem buddystów. Widziałem i Ruskich, którzy od

urodzenia w nic nie wierzyli. Mój ojciec w 95 roku pomagał zmieniać tutaj dach. Gont przykrywali blachą. A potem mnie tutaj chrzcili.

Szedłem później obok wozu, a stary człowiek wskazywał miejsca, gdzie stały domy, wymieniał imiona, opowiadał okruchy jakichś zdarzeń. Jechał przez wieś, która istniała w jego pamięci. Ani czas, ani ogień, ani kruchość nie miały do niej dostępu. W końcu, na pożegnanie, uśmiechnął się trochę kpiąco. Jego twarz przypominała zwarzone mrozem jabłko. I powiedział z prawie wesołym błyskiem w oku:

— No, właściwie to można by już umierać.

Czasami wąskimi schodami wchodziłem na strych. Poruszać się trzeba było ostrożnie, tylko po legarach, bo deski stropu ledwo się trzymały. Więźba dachu, wysokie belkowanie dzwonnicy — wszystko spojone bez jednego gwoździa, na zamki, kołki i czopy — przypominały wnętrze starego żaglowca. Gdy wiało z południa, słychać było monotonne trzeszczenie. Szkielet pracował. Przyjmował uderzenia wiatru, uginał się niezauważalnie, wciąż jeszcze twardy i sprężysty chronił nieruchomość zamkniętej w nim przestrzeni.

W miejscu, gdzie kiedyś wisiały dzwony, gnieździł się puszczyk. Jego nocne pohukiwanie stawiało pod znakiem zapytania realność istnienia świątyni. W pogodne księżycowe noce kopułki wyraźnie odcinały się na tle nieba. Nad koronami dębów i jesionów

górowały żeliwne kute krzyże, ale cisza bezludnej doliny, bezruch i ciemność sprawiały, że materia drzew i krzyży wydawała się tożsama. Zupełnie tak, jakby cerkiew została z powrotem zagarnięta przez naturę, z której dwieście lat temu ją wydobyto.

— Dobrze by było — powiedział człowiek z aparatem. Chciał jeszcze coś pstryknąć, ale słońce właśnie znikało.

A ja wciąż nie miałem pewności. Wciąż wracałem do początku i śledziłem powolną wspinaczkę budowniczych. Od poświęcenia skrawka gruntu aż po ryzykowną operację mocowania baniastych hełmów na stromych i spiętrzonych dachach. A potem musiały zapewne minąć całe dziesięciolecia, aż wnętrze przybrało dostojny i uroczysty wygląd. Było coś wzruszającego w nieporadnych polichromiach, które odwzorowywały kamienne gzymsy, kolumny i pilastry — dalekie wspomnienie świątyń Jerozolimy i Konstantynopola, może wyobrażenie Nowego Jeruzalem.

Z czasem opuszczona cerkiew zaczęła pochylać się na bok. Wilgoć nadjadła północne podwaliny. Pomiędzy belkami rysowały się szpary. Spod cienkiej warstwy wapiennego tynku przezierało próchno, delikatny złotawy pył. Myślałem, że jest to znak zwycięstwa nietrwałości. Ale to przecież żywe bakterie, roztocza i owady pokonywały iluzoryczny marmur.

Konserwatorzy przynieśli ze sobą zapach śmierci. Za pomocą chemikaliów o ostrej, nieprzyjemnej woni zatrzymywali rozkład. W sierpniowym upale wszystko cuchnęło jak jakiś szpital. Potem zawijali

belki w specjalne materiały i ładowali na samochody niczym mumie.

Nie jestem miłośnikiem ruin. Ale wizja odnowionej świątyni stojącej pomiędzy innymi domami i sprzętami tak samo wyjętymi z ich czasu i miejsca ma w sobie skazę jednowymiarowości. Badacze owadzich nogów będą się spierać o rutenizację albo latynizację fryzów i przedstawień. Barok będzie szedł o lepsze z bizantyjskością, policzone zostaną proporcje i ktoś ostatecznie ustali typ i czystość bryły. Lecz miejsca nie można przenieść. Miejsce nie ma wymiarów. Jest punktem i nieuchwytną przestrzenią. Dlatego wciąż nie mam pewności, czy rzeczywiście ją zabrano.

Mężczyzna zamknął futerał aparatu.

— A w którym miejscu było wejście? — zapytał.

— Tu. Stoi pan na progu.